

Saługa, Bronisław

"Pamiętniki", Jerzy Kirchmayer, Warszawa 1987 : [recenzja]

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 1-4, 132-137

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Polsko-Katolickie Towarzystwo Szkolne na Warmię, zamiast Front Jedności Narodu powinno być Front Narodowy (w latach pięćdziesiątych Polski Ludowej nie było jeszcze FJN — s. 12).

Sądzę, że ta książka, choć edytorsko nie najlepiej przygotowana, spotka się tak, jak inne pozycje Marii Zientary-Malewskiej z zainteresowaniem czytelników.

Jan Chłosta

Jerzy Kirchmayer, *Pamiętniki*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1987, 512 ss. Wydanie IV zmienione

Historyk zajmujący się Warmią i Mazurami znajdzie w książce generała Jerzego Kirchmayera materiały do biografii Warmiaka Pawła Piotra Klingenberga¹, z którym autor służył w jednym pułku najpierw w Grudziądzu a potem w Wilnie. „Spośród wszystkich oficerów pułku zyciem się najbliższymi z podporucznikiem Pawłem Klingenbergiem. Wnet przeniesiono nas razem do Wilna, służyliśmy kilka lat w tym samym pułku i mniej więcej przez rok mieszkaliśmy w jednym pokoju.

Paweł pochodził z Warmii. Jego rodzina była częściowo ziemczona. W samym Grudziądzu był na ulicy Lipowej wielki sklep Niemca Klingenberga, o którym mówiono, że jest jego krewnym. Paweł służył w czasie wojny w wojsku niemieckim, dosłużył się stopnia plutonowego i sprawiał się dzielnie, bo oprócz ciężkiej rany wyfasował Żelazny Krzyż i jakieś inne odznaczenia bojowe. W roku 1920, w okresie przygotowania nieszczęśliwego plebiscytu warmijskiego, został przydzielony jako podporucznik do polskiego batalionu, który wraz z analogicznym batalionem niemieckim miał zapewnić wojskową obronę plebiscytu. Był adiutantem, a po zredukowaniu batalionu do kompanii został jej dowódcą. Podlegały mu jakieś statki na Wiśle, a że był bardzo zapobiegliwy, staranny i gospodarczy, to zebrał przy swojej kompanii najrozmaitszy sprzęt i pokaźne zapasy. Było to wszystko bardzo niewspółmierne z jego skromnym stopniem wojskowym i skromną kompanią. To też gdy wezwano go wreszcie do Warszawy celem zdania jednostki, którą dowodził, nie chciano wierzyć w te wszystkie dobra, które wnosił do WP, a parowe statki na Wiśle dobiły ministerialnych referentów. Paweł nie zrobił jednak na tym kariery, nie zawieszono mu też nawet marniej blaszki na jego warmijskim „bruście”, lecz bez odznaczenia i w tym samym stopniu podporucznika przydzielono do 16 pułku. Zostałem go jako młodszego oficera w baterii Bigockiego, lecz zaraz po moim przydziale do tejże baterii otrzymał dowództwo baterii w innym dywizjonie.

Paweł był z wyglądu typowym oficerem pruskim. Szczupły, zgrabny, ostre rysy twarzy, niepolski sposób bycia, wyrażania się i myślenia, zawsze bardzo starannie ubrany, przy czym krój i kolor mundurów przypominały bardzo niemiecki. Nie było tylko w nim za grosz pruskiej buty i pozy. Przeciwnie — był bardzo skromny, spokojny, opanowany i nie rzucał się w oczy, chociaż był niezwykle ambitny. Odebranie dowodzenia baterią, ze zrozumiałych przyczyn powodów niskiego stopnia, jaki posiadał, ochorował. Był we wszystkim, co robił, niezwykle systematyczny i oszczędny, chociaż nie skąpy. We wszystkim — poza jedną dziedziną, a mianowicie kobietami. W tych sprawach tracił wszelki rozsądek.

Klingenberg nie popasał długo w Wilnie. Nie pamiętam już z jakiego powodu został przeniesiony do innego pułku, a wreszcie wyłądownął we Flotyli Pińskiej jako komandor podporucznik. Na jakimś ostrym strzelańcu z monitorów (klasa okrętów bojowych przeznaczonych do ostrzeliwania wybrzeży oraz walki z artylerią nieprzyjaciela i działań w dorzeczach i jeziorach) — pocisk działowy wybuchł nie tam gdzie należało, i biednemu

¹ T. Oracki, *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla XIX i XX wieku (do 1945 roku)*, Warszawa 1983, s. 160.

Pawełkowi potrzaskało fatalnie obydwie nogi. Nie widziałem go już po tym wypadku i nie wiem, jakie były jego dalsze losy. W każdym razie pozostał kaleką i przeszedł w stan spoczynku”.

J. Kirchmayer wystawił Warmiakowi Klingenbergowi bardzo pochlebną opinię. A trzeba wiedzieć, że autor *Pamiętników* jest wyjątkowo bezwzględny i na kartach swej książki wielu osobom, i to nawet na wysokich stanowiskach, przyszywał niezłe łatki. Z osobą Klingenberga związane jest jeszcze jedno wspomnienie, pośrednio dotyczące generała Rojji, który np. za gładki meldunek podczas inspekcji miał zwyczaj bezzwłocznego awansowania. Zresztą degradacje następowały u tego wojskowego dygnitarza w identycznie błyskawicznym tempie. Wróćmy jednak do naszego bohatera: „Klingenberg nadział się na nieprawdopodobny kawał. Miał kiedyś ordynansa. Był to chłopak nieszkodliwy, w miarę roztropany, i Paweł żałował go dosyć, gdy musiał się z nim rozstać z powodu swego przeniesienia do batalionu w Warmii². Od tego czasu minęło już wiele miesięcy i Paweł zapomniał o swym byłym ordynansie. Wreszcie Warmia się skończyła niesławnym plebiscytem i Paweł wyładował w 16 pap w Grudziądzu. Polaził któregoś dnia do kawiarni. Było mało osób. Naraz Paweł ujrzał przy jakimś stoliku znajomą gębę. Siedzi podporucznik, czyli szarża taka sama jak Pawła, coś znajomego, ale co? Nie może żadną miarą przypomnieć sobie nazwiska i okoliczności, w jakich się poznali. Typ płaci wreszcie, wstaje i zabiera się do wyjścia. Teraz Paweł trafia do domu. Przecież to jego były ordynans, tylko szelma włożył mundur oficera! Pawełkowi czerwona chusta zaślania oczy, szarżuje na rzekomego oszusta:

— Co ty, łajdaku, robisz w oficerskim mundurze? Łobuzie jeden? Aresztuję ciebie, chodź do komendy miasta! — i trzyma rękę na browningu.

— Panie poruczniku Klingenberg, minęły te czasy, jestem oficerem, proszę, tu legitymacja.

— Nie chcą patrzeć, sfalszowałeś legitymację, chodź ze mną!

W komendzie miasta okazało się ku zdumieniu zbaraniałego Pawła, że jego były ordynans został mianowany przez gen. Roję podporucznikiem i że legitymacja, mundur itp. są w najlepszym porządku. Paweł przeprosił swego obecnego kolegę i wyszedł, śmiejąc się jak goły w pokrzywach.”

Innym ciekawym wątkiem są studia wykonywane w okresie pokoju przez Inspektora Armii w Toruniu, gdzie autor *Pamiętników* był oficerem sztabu od 10 lutego 1935 do 15 października 1936 i od 2 stycznia 1939 r. do rozbitcia Armii „Pomorze” w drugiej dekadzie września tegoż roku.

Trzymając się chronologii, wypada omówić najpierw planowanie operacji zaczepnych (autor nie brał bezpośredniego udziału w tych pracach, znał je tylko z rozmów). Warto przy tym zaznaczyć, że dokumentacja została zniszczona we wrześniu 1939 r., jeżeli nie wcześniej. Oto co na ten temat pisze J. Kirchmayer: „— był dość długi okres na przestrzeni lat 1920—1932, w którym — Niemcy rozporządzali niewielką Reichswehrą i byli jeszcze pod dwustronnym naciskiem przeważających sił zbrojnych Francji i Polski. W tych warunkach konflikt zbrojny z Niemcami przedstawiał się z wojskowego punktu widzenia jako łatwa ekspedycja. Podobno zamiarem Piłsudskiego było wówczas uderzyć głównymi siłami polskimi w kierunku na Prusy Wschodnie i opanować wreszcie prowincję, która oskrzydlała Polskę od północy, a nawet umożliwiały wyjście na tyły Warszawy i przecięcie komunikacji łączących środek Polski z Wileńszczyzną. W tym czasie zostały wykonane pewne prace przygotowawcze skierowane przeciwko Prusom Wschodnim. — Spotkałem się w inspektoracie toruńskim tylko ze śladami takich studiów. Były to:

² Z tego, co zostało wcześniej powiedziane, można wnosić, że jednostka stacjonowała nad Wisłą, więc nie na Warmii. Może to był Kwidzyn, gdzie urzędował Warmiński Komitet Plebiscytowy?

— studia wykonane przez 16 DP w związku z jej zadaniem na wypadek polskiej akcji zaczepnej na Prusy Wschodnie, przy czym studia te zostały osobiście nakazane przez Piłsudskiego w czasie jego pobytu w Toruniu w roku 1932, co bez wątpienia stało w bezpośrednim związku z ówczesnym zamiarem Piłsudskiego wywołania wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom, który to zamiar spełził na niczym z powodu odmowy mocarstw zachodnich;

— luźne strzępy różnych daleko posuniętych studiów dotyczących postawy mniejszości polskiej w Prusach Wschodnich, szczegółowego rozplanowania obiektów wojskowych oraz szczególnie czułych punktów wschodniopruskiej sieci kolejowej.

— było w naszym wojsku ugruntowane przekonanie, że w razie wojny z Niemcami uderzymy na Pojezierze Mazurskie. Z takim poglądem spotykałem się ogólnie jeszcze w 1936 roku, kiedy to sytuacja polityczna i wojskowa Niemiec była zupełnie inna. Taki pogląd błąkał się także w głowie gen. Bortnowskiego po jego przyjeździe do Torunia (konic 1935 r. — B. S.).

— była to zupełna niedorzeczność, na którą szkoda było czasu i pieniędzy. Nie mogliśmy bowiem w żadnym wypadku uderzać dużymi siłami w kierunku północnym w wyjątkowo trudnych warunkach terenowych i komunikacyjnych i w tym samym czasie wytrzymywać uderzenia niemieckiego do zachodu. Były to absurdy rozumiałe chyba dla zupełnych laików. A jednak gen. Bortnowski kazał Florianowiczowi (II oficer sztabu inspektoratu toruńskiego) przestudiować taką możliwość, kiedy opracowywaliśmy na początku 1936 roku studium niemieckie dla marszałka Śmigłego. Nie wiem, do jakiego stopnia wierzył jeszcze wówczas w takie działania. Być może, chciał tylko lepiej uzmysłwić sobie to, na co sam nie miał dotychczas zdecydowanego poglądu”.

Inspektorat Armii w Toruniu, szczególnie po zagarnięciu Klajpedy przez Niemców, musiał pilnie śledzić poczynania nazistów w Gdańsku, by w wypadku „anszłusu” podjąć racjonalne działania, których skala miała zależeć od czynników politycznych Rzeczypospolitej. „Założeniem planu było ogłoszenie przez miarodajne czynniki gdańskie przyłączenia do Rzeszy, przy czym Rzesza nie brała czynnego udziału w zatargu, który wynikał z tego powodu między Wolnym Miastem a Polską. Nie wykluczało to oczywiście ukrytej pomocy Niemiec dla Gdańska, szczególnie w formie przenikania oddziałów zbrojnych z Prus Wschodnich oraz ewentualnie drogą morską z Rzeszy do Gdańska.

Uderzenie na Gdańsk miało być z naszej strony wykonane przez specjalną grupę operacyjną w składzie dwóch dywizji piechoty dowiezionych transportami kolejowymi z głębi kraju oraz Pomorskiej Brygady Kawalerii. O ile pamiętam generał został dodatkowo poinformowany, że dywizjami tymi będą 17 (Gniezno) i 26 (Skierniewice).” J. Kirchmayer krytycznie ocenia założenia operacji pisząc: „Wydawało się już wówczas [połowa 1936 r. — B. S.], że Niemcy nie pogodzą się z uduszeniem Gdańska przez Polskę. Było to mało prawdopodobne. Jeżeli więc do tego różowymi barwami wymalowanego założenia wprowadziło się groźną, ale realną możliwość zbrojnej interwencji niemieckiej, to ryzyko akcji na Gdańsk przedstawiało się z wojskowego punktu widzenia jako nadmierne. Nawet dla zupełnego laika było bowiem jasne, że uderzenie niemieckie na każdym kierunku prowadzącym z niemieckiego Pomorza Zachodniego na nasze Pomorze odcina, a co najmniej trafia w tyły grupy operacyjnej zajętej uderzeniem na Gdańsk. Podstawa przygotowanej akcji wydawała mi się nierealna i w związku z tym cały plan oceniałem jako jedno z nielicznych studiów, które po wykonaniu składało się do szaf na wieczne niezobaczenie. — Korytarz pomorski był wąską (33—110 km) kiszką, która zwęzła się ku wybrzeżu morskemu. Od czoła stykał się on na całej długości z granicą Rzeszy, na tyłach od Grudziądza po wybrzeże miał silną niemiecką ekspozyturę wojskową w Prusach Wschodnich, przedłużoną ku północy obszarem Wolnego Miasta Gdańska, oraz na całej długości dużą przeszkodę wodną, jaką jest Wisła w swym dolnym

biegu. W ten sposób korytarz, otwarty na całą swą długość od zachodu, zagrożony od tyłu i przparty do Wisły, był dla nas operacyjną cieśniną, w którą nie wolno było wprowadzać poważniejszych sił pod groźbą ich zniszczenia. Nie mogliśmy zatem bronić korytarza, a więc trzeba było liczyć się z utratą w chwili, kiedy nieprzyjacielowi podoba się go opanować”.

Najprawdopodobniej właśnie dlatego marszałek Śmigły w swej decyzji z marca 1939 roku zalecając przeprowadzenie polskiej kontrakcji generałowi Bortnowskiemu (wówczas już dowódcy armii „Pomorze”) w razie puczu w Gdańsku, zalecił by była ona przeprowadzona niewielkimi siłami. Rozkaz ten został zmieniony w pierwszej połowie sierpnia i był pełnym zaskoczeniem dla sztabowców armii „Pomorze”. Do akcji na Gdańsk został wyznaczony Korpus Interwencyjny pod dowództwem generała Skwarczyńskiego (17 i 27 DP oraz oddziały pozadywizyjne — dywizjon artylerii ciężkiej, batalion saperów, batalion łączności itp.). Siły te pojawiły się w rejonie Bydgoszczy w ostatnich dniach przed wybuchem wojny i jako pierwsze (miały one składy pociągów przygotowane do transportu na północ) rozpoczęły odwrót. Dzięki temu, mimo bezmyślnego początkowo zamiaru wysłania tych oddziałów na zagładę, Korpus Interwencyjny, poniósł w porównaniu do wojsk armii „Pomorze” stosunkowo małe straty w pierwszych dniach walk.

W latach 1937—1938 w Inspektoracie toruńskim (niezależnie od troski o mosty tczewskie) zajmowano się umocnieniami w rejonie Brodnicy ora. możliwościami dokonania zalewu na Narwi i Biebrzy. Wszystkie te studia miały na celu zabezpieczenie się przed ciosami jakie mogły spaść na Polskę z kierunku północnego, z Prus Wschodnich.

Mosty tczewskie stanowiły najczulszy punkt połączeń kolejowych Rzeszy z Prusami Wschodnimi. Należało się spodziewać równoczesnego uderzenia ze wschodu i zachodu, przy czym istniała także możliwość równoczesnego działania z obszaru Wolnego Miasta Gdańska. Tczew w poważnej mierze zasiedlony był ludnością niemiecką. Zabezpieczenie od jezior rokickich po tor kolejowy Pszczółki—Tczew poprzez zalew mokradeł jakkolwiek możliwe, praktycznie nie wchodziło w rachubę, gdyż spiętrzenie wody musiałoby trwać zbyt długo. W tych warunkach niezależnie od wykorzystania realnych możliwości obrony obiektu, chodziło przede wszystkim o to, by nie dopuścić do opanowania mostu przez Niemców w stanie nicuszkodzonym, by maksymalnie utrudnić nieprzyjacielowi swobodę przewozu wszelkiego rodzaju ładunków w kierunku równoleżnikowym.

„W fortyfikacjach pod Brodnicą szukano — pisze J. Kirchmayer — wzmocnienia osłony prawego skrzydła sił operujących na obszarze między Wisłą a Drwęcą. — Dlatego przestudiowano możliwość zamknięcia niewielkim zalewem i fortyfikacjami cieśniny między Drwęcą a jeziorem Bachotek. — przestudiowano także możliwość zamknięcia przejść między jeziorami na północ od Brodnicy, a mianowicie na linii jezior Bachotek, Strażyn, Zbiczo i Ciche. Wszystkie te umocnienia miały uzupełnić naturalną kurtyne oddzielającą wypadowy kierunek nieprzyjaciela z zachodniej części Prus Wschodnich na Toruń i Włocławek od kierunku wyprowadzającego nieprzyjaciela ze środkowej części Prus Wschodnich na Działdowo i Warszawę”. Autor *Pamiętników* omawia prace studyjne dotyczące fortyfikacji rejonu Brodnica, nie wspomina jednak, czy i w jakim zakresie zostały one zrealizowane w okresie bezpośrednich przygotowań do wojny z Niemcami.

Najpoważniejszą pracą wykonaną w Inspektoracie Toruń w latach 1936—1938 była próba zwiększenia obronności i zabezpieczenia się przed niemieckim uderzeniem z Prus Wschodnich przez zalanie na dużej szerokości dolin rzek Narwi i Biebrzy. To, jak i poprzednie zadania, wyraźnie o tym mówi autor *Pamiętników*, podejmował generał Bortnowski z własnej inicjatywy, przy czym nie była to „partyzantka”, gdyż operacyjne uprawnienia dowódcy Inspektoratu Toruń obejmowały także ten obszar (bez prawa

inspekcjonowania oddziałów stacjonujących na tym terenie). Warto przyrzeć się co na ten temat ma do powiedzenia J. Kirchmayer: „W przystępie szczerości gen. Bortnowski wyłożył mi kiedyś swój punkt widzenia na tę sprawę. W razie wojny z Niemcami wisimy wszędzie w powietrzu. Zawsąd jesteśmy zagrożeni. Trzeba mieć coś, na czym można się oprzeć, w czym można względnie spokojnie żyć i skąd można w dobrych warunkach uderzać. W obecnym stanie rzeczy Naczelny Wódz nie ma nic podobnego i łatwo może być wysadzony z siodła. Wprost narzuca się jako taki rezerwat Naczelnego Wodza obszar chroniony od północy Narwią i Biebrzą, od zachodu Wisłą. Po umocnieniu zalewem obronności Narwi i Biebrzy nieprzyjaciel będzie się mógł dostać do tego obszaru w sposób wygodny tylko od południa poprzez górą Wisłę i San. Na to znajdzie się odpowiedź w przeciwdziałaniu operacyjnym. Na gen. Bortnowskim spoczywa odpowiedzialność za studium możliwości operacyjnych w dolinach Narwi i Biebrzy, to też uważał za swój obowiązek przestudiować je i przedstawić marszałkowi Śmigłemu. Oczywiście byłem całkowicie tego samego zdania. Jednak projekt został odrzucony, ponieważ zalewy miały kosztować dwadzieścia kilka milionów złotych, co według oceny marszałka Śmigłego przekraczało możliwości budżetowe Polski”.

Wspominając swoją służbę w sztabie toruńskiego inspektoratu J. Kirchmayer opowiada także o agenturalnym rozpracowaniu obszaru Prus Wschodnich. I tu znów warto sięgnąć do oryginalnego tekstu, gdyż żadne streszczenie nie odda lepiej beztroski jaka panowała na tym ważnym odcinku. „Prace nad sprawami niemieckimi poprowadziłem (najprawdopodobniej w 1936 r. — B. S.) w ten sposób, że studiowałem dane bieżące oraz cofałem się wstecz do zagadnień, które były od kilku lat periodycznie naświetlane komunikatami ekspozytury II oddziału w Bydgoszczy oraz oddziału II Sztabu Głównego. Tę drugą część pracy, która była niczym innym, jak tylko wyrównywaniem zaległości, zacząłem od studium Prus Wschodnich. Wtedy dopiero dobrałem się do tajemniczych dzieł naszego kreślacza, sierżanta Dąbrowskiego. Okazało się, że on to z zniszczoną pracowitością nosił na ogromne oleaty dane o fortyfikacjach budowanych przez Niemców w Prusach Wschodnich. — Przegryzłem tę sprawę możliwie najdokładniej najprzód u siebie, a w ciągu lata tego roku, w ekspozyturze w Bydgoszczy. Wyniki były zdumiewające. Po prostu okazało się, że nie tylko znaczne fragmenty fortyfikacji, ale całe linie obronne, były niemal wyszane z palca albo oparte na wiadomościach bardziej niż podejrzanej wartości. Z punktu widzenia operacyjnego, a często także taktycznego były to oczywiście absurdy. Ekspozytura kupowała zły towar za dobre polskie pieniądze. Nabywała lekkomyślnie, jakby jęta jakimś niezrozumiałym pośpiechem kupowania, jakby ten chłam ogromnie zwyżkował lub groził zwyżką na szpiegowskiej giełdzie w Gdańsku. Wnet zrozumiałem, gdzie leży „Hund begraben”. Wytworzyła się niezdrowa konkurencja między ekspozyturami. Która wypuściła grubszy komunikat, wykazała więcej niemieckich schronów i innych danych, ta była oczywiście lepsza od innych. Sztab Główny oceniał ekspozytury według ilości uzyskanych przez nie wiadomości i procent wiadomości, które oddział II uznał za prawdziwe. To był główny powód ulewy schronów jedno- i więcej kierunkowych, zasieków, punktów operacyjnych itp.

Drugim powodem był brak kompetencji oficerów ekspozytury w ocenie wiadomości, które kupowali. — W naszym wojsku ocena należała do atrybutów Sztabu Głównego. Nie wiem w jaki sposób jej dokonywano. Wiem jednak, że była co najmniej spóźniona, gdyż ekspozytura miała czas zabrać bardzo daleko w fantastycznych fortyfikacjach, a oddział II wciąż nie przysyłał swojej oceny. Ostatecznie na skutek analizy wiadomości z Inspektoratu Armii Sztab Główny musiał wycofać się z najbardziej kompromitujących linii fortyfikacyjnych, chociaż niektóre obiekty były dwukrotnie stwierdzone, czyli wiadomość została uznana jako sprawdzona. Dalszym skutkiem było to, że ekspozytura bydgoska przestała prawie zupełnie podawać wiadomości o fortyfikacjach w Prusach

Wschodnich. Spowodowało to nieoczekiwaną reakcję ze strony generała (Bortnowskie-go — B. S.). Powiedział ppłkowi Maliszewskiemu, że poderwałem w ekspozyturze zapal do pracy na odcinku Prus Wschodnich”.

Ostatni, bardzo lakoniczny, rozdział *Pamiętników* poświęcony jest kampanii wrześniowej. Armia „Pomorze”, której generał Bortnowski był wówczas dowódcą, w zasadzie nie miała w pierwszych dniach wojny żadnej styczności z wojskami niemieckimi nacierającymi z Prus Wschodnich. Dwie dywizje piechoty (16 i 4) rozciągnięte na prawym brzegu Wisły, wzdłuż granicy z Prusami Wschodnimi, po otrzymaniu rozkazu odwrotu (w nocy z 5 na 6 września) przeszły na lewy brzeg Wisły nie naciskane przez nieprzyjaciela i wykonywały odwrót na Warszawę wraz z resztą wojsk armii „Pomorze”. Wprost uwierzyć trudno, że zagradzające Niemcom drogę oddziały 4 DP rozlokowane w rejonie Brodnicy nie miały żadnej łączności z lewoskrzydłowymi oddziałami armii „Modlin” (Nowogrodzka Brygada Kawalerii dowodzona przez generała Andersa — kontrolująca lasy w rejonie Lidzbarka Welskiego). Nie było to spowodowane lekkomyślnością ani zaniedbaniem. Taki był rozkaz pisemny marszałka Śmigłego, dotyczył nie tylko armii „Pomorze” i „Modlin”. Armia generała Bortnowskiego i generała Kutrzeby („Poznań”) także nie mogły się kontaktować z sobą.

* * *

Przyczyłem tu tylko te opinie generała Jerzego Kirchmayera, które bezpośrednio dotyczyły zagadnień wschodniopruskich. Zainteresowani tematem znajdują w pamiętnikach sporo ważnych szczegółów, o których na tym miejscu ze zrozumiałych względów nie wspominam.

Bronisław Saluda

Hans Preuschoff, *Journalist im Dritten Reich, Zeitschrift für die Geschichte und Altertumskunde Ermlands*, 1987, Beiheft 6, ss. XI + 96.

Nowa książka Hansa Preuschoffa wydana ponownie przez Historischer Verein für Ermland, jest nietypowa w jego twórczości¹. Autor, historyk, pokusił się o dokonanie bilansu części swojego życia, przypadającej na okres panowania w Niemczech narodowych socjalistów. „Staralem się zawsze, żeby przedstawić swoją relację we współczesnych ramach historycznych” — mówi w przedmowie. Otrzymujemy więc szczególną formę pamiętnika pisaną przez badacza dobrze znającego epokę również od strony naukowej. Herbert Hömig w ciepłych słowach kreśląc sylwetkę Preuschoffa (Zum Geleit ss. IX—X) powołuje się na postać cesarza Rudolfa II ze sztuki Franza Grillparzera *Ein Bruderzwist in Habsburg*, który bezskutecznie przeciwstawia się narastającym konfliktom zdając sobie jednocześnie sprawę ze swojej bezsilności. Motto ze sztuki Grillparzera symbolizuje całą beznadziejność sytuacji w jakiej przyszło działać autorowi książki. Hömig wysoko ocenia trzecie spojrzenie Preuschoffa — dziennikarza na losy wojny oraz walory samej książki, ukazującej okres hitlerowski z punktu widzenia człowieka, pochodzącego z Prus Wschodnich, a później uważnego dziennikarza przebywającego w „centrum tajfunu” w Berlinie. Dodatkową zaletą książki jest — według Hömiga — to, że autor może przekazać w niej wszystko czego wówczas zabraniała cenzura.

Książka składa się z trzech zasadniczych rozdziałów, ukazujących kolejne etapy dziennikarskiej kariery Preuschoffa: *Erste Etappe: «Ermländische Zeitung» 1933—1939*;

¹ Preuschoff jest autorem wielu przyczynkowych artykułów z przeszłości Warmii oraz jednej książki wydanej w prezentowanej serii: *Peter Eduard Gergmann SYD (1888—1960). Diener der Kirche in zwei Diktaturen, Zeitschrift für die Geschichte und Altertumskunde Ermlands* (dalej ZGAE), 1984, Beiheft 4.